

„DŁUGO LEŻAŁO MI NA SERCU, że ja, osoba pisząca, nie napisałem niczego o mamie”, mówi Michał Zabłocki. Teraz to się zmieniło. Właśnie ukazał się tom wierszy Zabłockiego „Janowska”.



Zmiana planu

WYSLUCHAŁA Joanna Derda

„W naszej rodzinie styl rozmowy był specyficzny. Żart, złośliwość, kpina. Kiedy mama zachorowała, z alzheimerem też radziliśmy sobie śmiechem. I w końcu staliśmy się sobie bliżsi”, mówi **Michał Zabłocki**, reżyser i poeta, syn aktorki Aliny Janowskiej i architekta Wojciecha Zabłockiego.



N

igdy nie miałem poczucia, że jestem dzieckiem niezwykłych rodziców. Że mój dom różni się od innych domów. Prawdę powiedziawszy, i teraz z trudem to dostrzegam. Wydawało mi się całkiem normalne, że jest, jak jest.

DOM

A przecież nasz dom nie był zwykły – choćby ze względu na ludzi, którzy w nim bywali. Pamiętam Ewę Demarczyk, Agnieszkę Osiecką, Wojtkę Młynarskiego, Daniela Olbrychskiego, Zygmunta Kałużyńskiego. Miałem ciekawych chrzestnych, którzy nie mieli zbyt wiele wspólnego z Kościołem, ale wtedy jakoś to przechodziło: Agnieszkę Osiecką i Zygmunta Kałużyńskiego. Ona była przyjaciółką mamy, on – przyjacielem ojca. Bywali też u nas naukowcy, jak

profesor Władysław Tubielewicz, orientalista, arabista, ale i zapalony szermierz, z żoną Jolantą, dziekanem japonistyki. Mimo tych wizyt Kaniowska – bo tak zawsze mówiliśmy – nie była domem otwartym, przesadnie tętniącym życiem towarzyskim. Z ludźmi, którzy u nas bywali, mieliśmy fajne, intymne, rodzinne kontakty.

Sam dom został zaprojektowany przez ojca. Był – jak na tamte czasy – ekstrawagancki, zresztą niedawno został wpisany do rejestru zabytków, choć powstał w latach 70. To też mówi o jego wyjątkowości.

SPORT

Wychowywano mnie raczej surowo. Zawsze było mnóstwo rzeczy do roboty, a każde z rodziców miało na mnie inne pomysły i z różnym szczęściem te pomysły realizowało. Ale jedno było wspólne: oboje podzielali fascynację wychowawczymi zaletami sportu, tylko różnie to widzieli. Mama chciała, żebym był tenisistą i narciarzem. I rzeczywiście dość długo próbowałem tenisa i nart, z marnym zresztą skutkiem. Ojciec oczywiście wolał, żebym został szermierzem – i to poszło dużo łatwiej, dużo szybciej i dużo lepiej. Byłem wtedy w piątej klasie podstawówki, czyli dość późno jak na początek kariery sportowej, ale wyniki miałem właściwie od razu spektakularne, co mnie, oczywiście, mocno zachęciło. Po pierwszym sezonie pojechałem na mistrzostwa Polski, czyli

Spartakiadę Młodzieży, tak to się wtedy nazywało, i wygrałem. Po roku czy półtora treningów byłem najlepszy w swojej grupie wiekowej w kraju. Mama szybko się przekonała, że skoro są wyniki, to nie ma sensu się stawiać. Zwłaszcza że przywoziłem jej medale. Potem, na stare lata, wielokrotnie mi opowiadała, że ciągle ma mnie przed oczami jako nastolatka, który przyjeżdża z nagrodami i jej je wręcza. To jej wynagrodziło fakt, że poszedłem inną drogą niż przez nią planowana. Ale choć rodzice inaczej moją sportową karierę widzieli, nigdy nie byłem rozzerwany między światem mamy i ojca, nie musiałem podejmować żadnych dramatycznych decyzji.

Byłem dzieckiem mocno zajęтым. Poprzeczka zawsze zawieszona była wysoko. Rodzice dużo wymagali od siebie – i to się udzielało. Patrzyliśmy na nich i siłą rzeczy te wymagania przenosiliśmy na siebie. Zawsze musiał być plan pracy. Nie ma tak, że się rano wstaje i coś się dzieje – ale równie dobrze może się zdarzyć coś całkiem innego. Jest plan i jest walka, żeby go zrealizować. To głęboko we mnie weszło, stało się częścią mnie, choć niektórych szokowało. Pamiętam, jak w liceum nasz polonista i wychowawca, Stanisław Falkowski, zobaczył mój notes wypełniony po brzegi kolejnymi zadaniami – i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Niedawno o tym rozmawialiśmy, okazało się, że on dobrze to pamięta. Może ▶

nawet lepiej niż ja. Miałem więc czas precyzyjnie, drobiazgowo zorganizowany. Ale w pewnym momencie, chyba pod koniec liceum, zaczęło mnie to męczyć. Przestałem dostrzegać sens tej nieustannej dyscypliny. Nałożyło się to na kryzys – całkiem w tym okresie życia naturalny – kiedy nie bardzo się wie, czy w prawo, czy w lewo, i w ogóle po co. Wtedy też – dosyć raptownie – skończył się dla mnie sport. Miałem problemy z kręgosłupem i musiałem zrezygnować z szermierki właściwie w tym momencie, w którym się zaczyna prawdziwą karierę. Po wielokrotnym zdobywaniu mistrzostw i wicemistrzostw Polski juniorów, po jakichś tam sukcesach międzynarodowych, w wieku 21 lat musiałem dać sobie z tym spokój. Co zrymowało mi się z drugimi studiami, bo reżyseria i sport to połączenie trudne, by nie powiedzieć nierealne. Zmieniło się wszystko. Tryb życia, cele. Trwało dosyć długo, zanim sobie różne rzeczy poukładałem i na pewno z punktu widzenia rodziców to był trudny czas. Teraz myślę, że byli cierpliwi, choć wtedy tego tak nie widziałem. A ja wychodziłem z ustalonych ram, wszystko kwestionowałem, zrobiłem sporo niefajnych rzeczy. Na pewno ich tym raniłem. Wiedziałem o tym. Ojciec zawsze starał się być delikatny, choć miał swoje zdanie, ale mama bywała ostra. W efekcie przez długie lata byliśmy skłóceni. Potem się to uspokoiło, a na jej stare lata minęło zupełnie.

ŚCIELENIE ŁÓŻEK

Nasze dzieciństwo było czasem spokojnym. Bez traumatycznych przeżyć, wstrząsów, zaburzonego poczucia bezpieczeństwa. Rodzice wcześniej się porozwodzili, moje starsze przyrodnie rodzeństwo miało z tego tytułu różne perturbacje, ale już my – moja młodsza siostra i ja – żyliśmy w rodzinie stabilnej, która trwała i przetrwała. Młodość mamy była wojenna, więc niełatwa. O przeżyciach z tamtych lat nie mówiła chętnie. Przez całą komunę w sferze publicznej to nie był dobry temat, w domu oczywiście jakoś tam

W domu nie było czegoś takiego jak wypoczynek. Kiedy tata pytał: „Co robisz?”, nie można było odpowiedzieć: „Czytam sobie...”

istniał, ale mama nigdy nie miała potrzeby snucia wojennych wspomnień. „Wychodziło to” zupełnie inaczej. Na przykład w postaci nauki pewnych domowych zachowań czy obowiązków. Pedantyczne ścielenie łóżek, dokładne czyszczenie, sprzątanie. Mama tę skrupulatność wyniosła po części z domu – jej ojciec, za młodu żołnierz, adiutant Dowbora-Muśnickiego, miał takie wymagania. Ale sporo też zrobiły wojenne przeżycia. Najpierw obóz przesiedleńczy, później siedem miesięcy na Pawiaku – to wszystko odcisnęło się na jej psychice. Przez całą komunę, zwłaszcza lata 50., nie można było w ogóle o karcie powstańczej mówić i ona jakoś to w sobie wyciszyła. A potem, kiedy było wolno, a nawet było to pożądane, w niej nie urosło to już do rangi ważnego wydarzenia. Wprawdzie chodziła na wszystkie powstańcze celebry, ale miała do tego duży dystans. I na szczęście, inaczej byłoby to dla nas trudne.

Narty i tenis to ulubione dyscypliny sportu Aliny Janowskiej. Nic dziwnego, że marzyła o nich dla syna. Z kolei Wojciech Zabłocki, szermierz, olimpijczyk, chciał, żeby Michał przejął po nim pałeczkę.



SZAJBY RODZINNE

Naszą domową „świecką tradycją” były niedzielne treningi w WKN-ie, czyli Warszawskim Klubie Narciarskim na Mokotowie. Jeździło się tam całą rodziną, nie było mowy o tym, żeby usiąść przed telewizorem i oglądać teleranek. Zresztą w ogóle w domu nie było czegoś takiego jak wypoczynek. Kiedy w moich licealnych czasach ojciec wchodził do pokoju i pytał: „Co robisz?”, nie można było odpowiedzieć: „Nic”. Albo: „Myślę”. Czy: „Coś sobie czytam”. To musiało być zawsze coś konkretnego, wpisanego w plan dnia. Te nasze niedzielne wypadki do WKN-u odbywały się niezależnie od pogody. Ulewa, mróz – nieważne, czasem istniała męka pańska. Albo wakacje. Z tatą na normalne wakacje pojechać się nie dało. Mieliśmy tradycję rodzinnych obozów sportowych. Jeździliśmy na przykład do supernowoczesnego wówczas ośrodka pięcioboju nowoczesnego w Dżonkowie.



Sportowa rodzina w komplecie: Alina Janowska, Wojciech Zabłocki, syn Wojciecha Marcin, córka Aliny Agata i najmłodsi: Michał i Kasia.

Tam uprawialiśmy wszystkie możliwe sporty, wszystkie trzeba było zaliczyć każdego dnia. Jazda konna, strzelanie, szermierka, do tego tenis... Na okrągło. Nieźle byliśmy tym katowani. W dodatku to były czasy, kiedy w sklepach za wiele do jedzenia dostać się nie dało. Zostawała podła raczej stołówka w ośrodku. A ojciec miał obsesję, że coś koniecznie ma być podstawą menu. Jednego roku, pamiętam, można było kupić w wielkich ilościach ogórki szklarniowe. I tata wyczytał gdzieś, że te ogórki są znakomite na coś, prawdę powiedziawszy, kompletnie nie pamiętam na co. Jedliśmy więc je non stop. W efekcie po trzech dniach mieliśmy wszyscy koszmarnie rozwolnienie, co w połączeniu z intensywnymi treningami sprawiało, że ledwo trzymaliśmy się na nogach. Innego roku w Zakopanem można było dostać sok z czarnej porzeczki. I znowu: dwa litry dziennie... Perturbacje żołądkowe świetnie pamiętam do dziś. Mama z tego dietetycznego terroru często się wyłamywała, za to z działań sportowych nie. Nie miała drygu wychowawczego, ale codziennie prowadziła poranny rozruch. Zresztą nie tylko na naszych „obozach”. Pamiętam, że kiedy pojechaliśmy na wczasy do Bułgarii, nad morze, ona zrywała z łóżek wszystkie panie w ośrodku i jeszcze przed śniadaniem dyrygowała gimnastyką. A one wszystkie grzecznie z Janowską ćwiczyły. Niby to było dobrowolne, ale nie daj Boże, jak któraś nie poszła! Miała przechlapane, bo mama była złośliwa i potrafiła niezłą łatkę przypiąć. Ale w gruncie rzeczy wszyscy uwielbialiśmy nasze trochę dziwne wakacje. Te zwariowane pomysły taty, te wszystkie górskie wycieczki, z których nie zwalniała najkoszmarniejsza nawet pogoda. Szło się w góry z nadzieją, że jednak „się przetrze”, choć naprawdę nic na to nie wskazywało. I trzeba było dojść w zaplanowane miejsce... Potem zacząłem jeździć z ojcem w góry sam. I znowu podobny plan dnia: rano wycieczka, po południu trening szermierczy. Poddawałem się temu, ale nigdy nie czułem się „na sznurku”, choć może z zewnątrz tak to wyglądało. Wcześniej to, mówiąc naukowo, zinterioryzowałem. Przejąłem ten rygor treningowy za swój. Życie towarzyskie, które w czasach licealnych było jednocześnie życiem imprezowym, kompletnie mnie nie interesowało. Zawsze byłem trochę osobny. Inni się bawili, ja czytałem albo pisałem. Chodziłem swoimi ścieżkami, nie byłem ani tu, ani tam. ▶

STOP

Nie czyść patyczkiem ucha w środku!

może to doprowadzić do zatkania przewodu słuchowego woskowiną*



postaw na bezpieczną higienę uszu**



- ✓ rozpuszcza zalegającą woskowinę
- ✓ przeciwdziała powstawaniu korków woskowinowych
- ✓ umożliwia zachowanie właściwej higieny uszu
- ✓ łagodzi podrażnienia
- ✓ przeciwdziała zaleganiu wody w przewodzie słuchowym w trakcie kąpieli lub uprawiania sportów wodnych

dowiedz się więcej na www.akustone.pl

CHOROBA

Pięć lat temu mama zachorowała. Diagnoza: alzheimer. Obie siostry są w Stanach, więc może z daleka wyglądać to tak, że cała odpowiedzialność spoczywa na ojcu i na mnie. Ale to nie do końca prawda. Nie zostaliśmy tu sami. W chorobie mamy siostry uczestniczą cały czas. Agata, lekarka, trzyma rękę na pulsie w kwestiach nadzoru medycznego. Jest telefon, Skype, ciągle mamy kontakt. Ona to kontroluje, wzięła w swoje ręce wszystko, kiedy choroba mamy była na etapie diagnozowania. Kasia z kolei ma dryg organizacyjno-finansowy, świetnie robi to zdalnie. Na co dzień są panie, które pomagają w opiece. Udało się wszystko tak opanować, żeby grało bez uszczerbku dla mamy i naszego życia rodzinnego. A przecież alzheimer to choroba uciążliwa dla wszystkich. Od razu po diagnozie było ciężko. Właściwie się do rodziców przeprowadziłem. Musiałem ustawić różne sprawy organizacyjne, rzeczywistość choroby była nieprzewidywalna. Sporo czasu upłynęło, zanim postawiono diagnozę. Utrudniało ją to, że mama była zawsze bardzo dobrą aktorką i przez długi czas niektóre objawy choroby kompensowała i ukrywała. Pewne sprawy, które nam wydawały się po prostu związanym ze starością przejawianiem cech jej charakteru, okazały się objawami alzheimera. Choroba przebiega z różną dynamiką. Okres największych zmian pamięciowych jest trudny dla każdego chorego i niezwykle istotne wtedy jest zachowanie najbliższych. Jeśli są przerażeni, to się robi dramat. Więc trzeba sprawę traktować naturalnie. Spędzałem wtedy na Kaniowskiej dużo czasu, byłem z mamą w momentach transformacji. Po krótkim czasie, jakby to powiedzieć, zdziwienia i zakłopotania całą sytuacją, pomyślałem sobie, że to w gruncie rzeczy normalne. Każdy przechodzi gripę i większości z nas zdarza się starość. A ona również z takimi sprawami się wiąże. Po roku choroby przyszedł kryzys. Mama, kiedy powoli zaczęła sobie uświadamiać, że traci swoje życie, że zmiany są nieuchronne i idą w jedną stronę, wpadła w depresję. Wielką. Wydawało mi się, że koniec przyjdzie szybko. Stało się inaczej. Poradziliśmy sobie z depresją dzięki rodzinnej skłonności do naśmiewania



Mama zawsze była niezależna. Choroba ją zmiękczyła. Nabraliśmy do siebie zaufania

się ze wszystkiego, łącznie z chorobą. To sprawiło, że mama mogła wyluzować, nie przejmowała się aż tak, że wszystko jej się wymyka, ulatuje. Zaczęła sama robić sobie z tego żarty i to przeprowadziło ją przez najtrudniejszy moment. Bo w naszej rodzinie styl rozmowy był zawsze specyficzny. Wynikał pewnie z tego, że każdy prowadził życie jako osobne, ale przy tym zawsze jednoczyliśmy się wokół stołu podczas prawdziwych mieszczkańskich obiadów. Te spotkania były rodzajem przedstawień kabaretowych. Każdy miał się prawo kogoś czeplić, raz jeden był kozłem ofiarnym, raz drugi. Każdy miał słabe strony, w które wtykało się szpile. Chodziło o to, żeby się nie obrażać. Dawało to możliwość rozładowania różnych napięć, może dzięki temu mieliśmy większy dystans do rzeczywistości, to też uodparniało nas na świat. I choroba mamy to była kolejna słaba strona, którą można było obśmiać. Nie było uzalania się: ojej, jaka ta mama chora, a jaka biedna, jakie to straszne. Chora? Trudno, trzeba zrobić, co się da

i tyle. A poza tym być przy niej, opowiadać, trzymać za rękę, śpiewać razem z nią w kółko te same piosenki. I razem się z tego śmiać.

W tym zmaganiu w pierwszym okresie choroby było całkiem wesoło. Dużo się wtedy nauczyłem. O tym, jakiego rodzaju kontaktu chory potrzebuje, i że najważniejsze są spokój i oparcie. Kiedy w domu jest nerwowo, tempo postępu choroby jest niewiarygodne. Atmosfera się uspokaja – i wszystko się prostuje. Dzięki tej chorobie wiele spraw między nami się wyprostowało.

Nabraliśmy do siebie zaufania, zapoznaliśmy o różnych wcześniejszych perturbacjach. Nie ma tego złego. Mama zawsze była niezależna, uważała, że nigdy od nikogo niczego nie będzie potrzebować. Choroba siłą rzeczy tę pewność podważyła. Zdała mamę na nas i ją zmiękczyła. I dopiero wtedy tak naprawdę stało się możliwe zadzierzgnięcie bliższej relacji. Relacji zaufania, umiejętności rozmowy o wszystkim, o czym wcześniej się nie mówiło. Myślę, że to było ciekawe doświadczenie i dla niej. Dla taty, oczywiście, diagnoza to był szok. Bo do naturalnego smutku i strachu doszła rewolucja dnia codziennego – mama zawsze wszystkim w domu rządziła. Dlatego też musiałem na początku intensywnie się w to włączyć, żeby pewne sprawy na nowo ustawić. Ale potem tata się w tej nowej codzienności odnalazł. Teraz jest w świetnej formie.

WIERSZE

Długi czas leżało mi na sercu, że ja, osoba pisząca, nie napisałem niczego o mamie. Wiedziałem, że powinienem, nie wiedziałem jak. Przymierzałem się z różnych stron i w końcu wybrałem sposób dla siebie najbardziej naturalny – tom wierszy. To wiersze bardzo osobiste. Ci, którzy je czytali, mówią, że pisałem bardziej o sobie niż o niej, ale to nie do końca prawda. Ich tematem jest Janowska.

ALINKA

Pół roku temu urodziła się moja druga córka. Kiedy dowiedzieliśmy się, że będzie to dziewczynka, wybór imienia był oczywisty. Alina.

WYSŁUCHAŁA *Joanna Derda*